

**Książka pobrana ze strony**  
**<http://www.ksiazki4u.prv.pl>**  
**lub**  
**[www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl](http://www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl)**

## **Robert Sheckley - Coś za nic**

Czyżby istotnie coś usłyszał? Nie był tego pewien. Odtwarzając zdarzenia w chwili później, Joe Collins przypominał sobie, że leżał na własnym łóżku, tak straszliwie zmęczony, że nie miał nawet siły zdjąć z koca przesiakniętych wodą butów. Z wzrokiem utkwionym w sieci peknąć na brudnym żółtym suficie, obserwował wolno, zalobnie kapiącą do środka wodę.

To się musiało zdarzyć właśnie wtedy. Collins katem oka złowił błysk metalu tuż koło łóżka.

Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie nigdy nie było żadnej maszyny, stała maszyna.

W pierwszym momencie zaskoczenia, Collinsowi wydawało się, że słyszy bardzo odległy głos, który mówi:

- Już! Gotowe.

Co do głosu - nie był go pewien. Ale maszyna pozostawała faktem niezaprzeczalnym.

Collins przykleknął, żeby ją lepiej obejrzeć. Maszyna mogła mieć ze trzy stopy kwadratowej powierzchni i cicho szumiała. Spekana, szara powierzchnia pozbawiona była cech szczególnych, z wyjątkiem czerwonego przycisku w jednym rogu i mosiężnej płytki pośrodku. Płytką informowała: UTYLIZATOR KLASY A, SERIA AA - 1256432. Pod spodem zaś - UWAGA! MASZYNA DO WYŁĄCZNEGO UŻYTKU OSOBNIKÓW KLASY A!

I to było wszystko.

Collins nie zauważył żadnych pokręteł, wskazówek, przełączników i tym podobnych urządzeń, które zawsze kojarzyły mu się z maszynami. Tylko mosiężna płyta, czerwony guzik i ten szum.

- Skąd się tu wzięło? - zapytał. Utylizator klasy A szumiał dalej. Collins i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Siedząc na skraju łóżka, patrzył w zamysleniu na Utylizator. Pozostawało pytanie - co z nim zrobić?

Ostrożnie nacisnął czerwony guzik, świadom swojego braku doświadczenia z maszynami, które spadały nie wiadomo skąd. Co się stanie, kiedy uruchomi urządzenie - podłoga się rozstąpi? Z sufitu zaczną spadać małe zielone ludziki?

Ale do stracenia miał mniej niż nic. Nacisnął guzik. Lekko.

Nic się nie stało.

- No, co jest, rób coś! - zirytował się Collins, wyraźnie zawiedziony.

Utylizator dalej tylko cicho szemrał i nic więcej.

Zawsze można go oddać w zastaw. Uczciwy handlarz dałby mu za złom przynajmniej dolara.

Spróbował podnieść Utylizator. Okazało się to niemożliwe. Spróbował raz jeszcze, tym razem angażując wszystkie siły i zdołał unieść jeden róg o cal nad ziemię. Pusił ciężar i siadł na łóżku, dysząc ciężko.

- Trzeba było przysłać ze dwóch facetów do pomocy - zwrócił się Collins do Utylizatora. W

mgnieniu oka szum nasilił się i cała maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją uważnie, ale dalej nic się nie działo. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i pchnął w czerwony guzik.

W mig pojawili się dwaj potężni faceci, odziani w zgrzebne stroje robocze. Z uznaniem popatrzyli na Utylizator.

- Bogu dzięki - odezwał się jeden - że to mały model. Z tymi dużymi człowiek się nauczy jak głupi.

- I tak lepsze to niż marmurowe kamieniołomy, no nie? - odezwał się drugi. Spojrzeli na Collinsa, który wytrzeszczał na nich gąły. W końcu pierwszy powiedział:

- No dobra, szefie, nie będę tu sterczeć do nocy. Gdzie przestawic?

- Kim panowie są? - wydukał Collins.

- Przenosicielami. A co, może wyglądamy jak siostry Vanizaggi?

- Ale skąd panowie się tu wzięli? - pytał dalej Collins. - I dlaczego?

- Wzięliśmy się z firmy przenosielskiej Powha Minnile Movers, Incorporated - wyjaśnił facet. - A dlatego, że pan szanowny życzył sobie coś przestawic. Gdzie to postawic?

- Proszę sobie iść - powiedział Collins. - Później panów wezwę.

Przenosiiele wruszyli ramionami i zniknęli. Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce po nich. Potem przeniósł spojrzenie na Utylizator Klasy A, który z powrotem szumił sobie z cicha.

Utylizator? Znalazłby dla niego lepszą nazwę. Spełniarka życzeń, na przykład.

Collins nie był specjalnie wstrząśnięty. Kiedy zdarza się cud, tylko tepe, przyziemne umysły nie potrafią go spokojnie zaakceptować. Collins z całą pewnością do nich nie należał. Miał doskonały grunt do akceptacji wszelkich zjawisk.

Większą część życia spędził na marzeniach, nadziejach i modlitwach o to, żeby zdarzył mu się cud. W gimnazjum marzył o tym, że któregoś dnia obudzi się i będzie umiał całą pracę domową bez nudnej konieczności uczenia się. W wojsku marzył o tym, żeby jakiś czarodziej albo diabeł zmienił dyspozycję i przydzielił go do dekorowania świetlicy, zamiast zmuszać go, żeby robił to, co wszyscy - czyli trenował musztre.

Po wyjściu z wojska Collins unikał pracy, gdyż był do niej psychicznie nieprzystosowany. Obijał się, z nadzieją, że jakiś bajecznie bogata osoba, pod wpływem nagłego impulsu zmieni swój testament, zapisując mu Wszystko.

W gruncie rzeczy, nigdy się niczego nie spodziewał. Ale kiedy cud nastąpił, był przygotowany.

- Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach - odezwał się ostrożnie Collins.

Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów jedno-, pięcio- i dziesięciodolarowych. Nie były zbyt piękne, to fakt, ale bez wątpienia były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść banknotów w powietrze i patrzył, jak z gracją osiadają na podłodze.

Wyciągnął się na łóżku i zaczął snuć plany.

Przed wszystkim, wyjedzie z maszyny poza Nowy Jork - może gdzieś na prowincję, gdzie wścibscy sąsiedzi nie będą mu przeszkadzać. Może być hece z podatkiem dochodowym. Kiedy się już ustawi, powinien wyjechać do Ameryki Środkowej, albo...

W pokoju rozległ się podejrzany odgłos.

Collins skoczył na równe nogi. W ścianie otwierała się wyrwa, przez którą ktoś próbował wtrąć się do środka.

- Ejże! Przecież cie o nic nie prosiłem! - powiedział Collins do maszyny.

Dziura w scianie powiększyła się i wielki, czerwony na gbie gość wkroczył jedną nogą do pokoju, z furia napierając na brzeg wyrwy. W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny na ogół miewają właścicieli. Ktokolwiek był posiadaczem spelniarki życzeń, na pewno nie przyjałby jej utraty ze stoickim spokojem. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Możliwe, że nie zawahałby się nawet przed...

- Bron mnie! - wrzasnął Collins do Utylizatora i dzgnął czerwony guzik.

Pojawił się drobny, łysy człowieczek w krzykliwej pizamie, zaspany i ziewający.

- Sanisa Leek, Gwarantowane Remonty Scian - wyrecytował, tracąc oczy. - Jestem Leek. Czym mogę służyć?

- Wyrzuc go stąd! - wrzasnął Collins. Czerwony na gbie, wymachując dziko ramionami, zdołał już prawie przecisnąć się przez otwór w scianie. Leek wygrzebał z kieszeni pizamy błyszczący kawałek metalu. Czerwony na gbie zaczął wrzeszczeć.

- Chwileczkę! Pan nie rozumie! Ten człowiek...

Leek wycelował w niego błyszcząca blaszka. Czerwony na gbie wrzasnął i zniknął. Po chwili znikła również dziura w scianie.

- Zabił go pan? - zapytał Collins.

- Skądże znowu - odparł Leek, chowając blaszkę. - Ja go tylko zawróciłem jego własnym kanałem. Ta droga więcej nie próbuje.

- Czy to ma znaczyć, że próbuje inna? - zapytał Collins.

- To możliwe - powiedział Leek. - Może próbować mikrotransferu, a nawet animacji. - Spojrzał surowo na Collinsa. - To jest pański Utylizator, tak?

- Jasne - powiedział Collins i zaczął się pocić.

- I ma pan klasę A?

- Naturalnie - zapewnił go Collins. - Gdybym nie miał klasy A, to co by u mnie robił Utylizator?

- Nie chciałem pana urazić - uspokoił go sennym głosem Leek. - Tak tylko zgaduje - wolno pokiwał głową. - Wy, ludzie klasy A, to sobie podróżujecie! Pan tutaj wrócił, żeby pisać powieść historyczną?

Collins tylko uśmiechnął się zagadkowo.

- No, będę leciał - powiedział Leek, ziewając jak najęty. - Dzień i noc na nogach. Już bym chyba wolął kamieniolomy. I zniknął w pół ziewnięcia. Deszcz ciągle bebnął w dach. Z drugiej strony wywietrznika nadal dobiegało chrapanie, niczym nie zakłócone. Collins był znowu sam, sam ze swoją maszyną. I z tysiącem dolarów w drobnych banknotach, rozsianych po całej podłodze. Czule poklepał Utylizator. Ci z klasą A rzeczywiście nieźle sobie żyli. Pan sobie czego życzy? Wystarczy wymówić życzenie i nacisnąć guzik. Nie ma wątpliwości, że prawdziwy właściciel tęskni za swoją maszynką. Leek ostrzegł, że gość może próbować dobrać się do niego inną drogą. Tylko jaką?

A zresztą, co za różnica. Collins zgarnął banknoty, pogwizdując pod nosem. Wiedział, że dopóki ma spelniarkę życzeń, potrafi o siebie zadbać.

Kilka następnych dni przyniosło wielkie zmiany w życiu Collinsa. Z pomocą firmy przenosielskiej Powha Minnile przetransportował Utylizator w głąb stanu Nowy Jork. Tam zakupił średniej wielkości górę w mało uczęszczanym zakątku Adirondaków. Ledwie dostał papiery do ręki, udał się w samo serce swojej posiadłości, o kilka mil od autostrady. Dwaj przenosiaciele, pocąc się jak myszy, taszczyli Utylizator w ślad za nim, klnąc przy tym monotonna, w miarę jak forsowali gaszcz.

- Postawic mi go tutaj i zjeżdżać - polecił Collins. Ostatnie dni znacznie wzmożyły jego pewność siebie.

Przenosiciele westchneli, nieco zdziwieni, i ulotnili się. Collins rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron, jak okiem sięgnąć, otaczał go gęsty las brzoźowo-sosnowy. Powietrze było słodkie i wilgotne. Ptaki ćwierkały radośnie w koronach drzew, od czasu do czasu przemknęła wiewiórka. Natura! Collins zawsze kochał przyrodę. Miejsce było idealne pod budowę dużego, efektownego domu, z basenem, kortami tenisowymi, a nawet - czemu nie? - małym lotniskiem.

- Chce mieć dom - oświadczył stanowczo Collins i wcisnął czerwony guzik. Pojawił się człowiek w nienagannym szarym garniturze urzędnika i z pince-nez.

- Służę uprzejmie, sir - rzekł, patrząc po drzewach. - Jestem jednak zmuszony prosić o bardziej szczegółową specyfikację. Czy życzy pan sobie coś klasycznego - bungalow, ranczo, willa dwupoziomowa, dworek, zameczek lub pałac? Czy też model prymitywny typu igloo albo szalas? Jako A, może pan wymagać czegoś supernowoczesnego - może być Pól-Fronton, Nowosc Rozwinieta, albo Zatopiona Miniatura.

- Coś podobnego - powiedział Collins. - Sam nie wiem. Co pan by proponował?

- Nieduży dworek - odparł tamten bez wahania. - Na ogół zaczyna się od niedużego dworku.

- Czyżby?

- Tak. Potem przeprowadzka w ciepły klimat i tam pałac.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, ale powstrzymał się. Wszystko szło jak po masle. Tamci naprawdę brali go za A - legalnego właściciela Utylizatora. Nie było powodu, żeby pozbawiać ich iluzji.

- Niech pan się sam wszystkim zajmie - polecił Collins urzędnikowi.

- Naturalnie, sir - odparł tamten. - Zawsze to robie.

Przez resztę dnia Collins spoczywał na kanapie i popijał mrożone napoje, podczas gdy Towarzystwo Budowlane Maxima Olph materializowało sprzęt i stawiało mu dom. Owocem tych działań była niewysoka budowla, licząca około dwudziestu pokoi, którą Collins ocenił jako skromną, uwzględniając okoliczności. Dom wzniesiono z materiałów najwyższej klasy, według projektów Moga z Degmy, wewnątrz projektował Towięge, basen - Mula, a ogród francuski - Vierien.

Do wieczora dzieło było ukończone, szczupła armia budowlanych zwinęła swój sprzęt i ulotniła się.

Collins zezwolił łaskawie, żeby szef kuchni przyrządził dla niego kolację. Następnie zasiadł w przestronnym, chłodnym salonie, aby rzecz całą przemysleć. Przy nim, szumiąc łagodnie, przycupnał Utylizator.

Collins zapalił cheroota i wciągnął nosem aromat egzotycznego cygara. Na początek odrzucił wszelkie wyjaśnienia o charakterze nadprzyrodzonym. Wykluczył demony i diabły. Jego dom wzniesiony został przez normalne ludzkie istoty, które gadały, śmiały się i rzucały miesem jak każda inna normalna ludzka istota.

Utylizator był niczym więcej jak eksperymentalnym gadżetem, działającym na zasadach, których Collins nie rozumiał i na zrozumieniu których wcale mu nie zależało.

Czyżby aparat pochodził z obcej planety? Mało prawdopodobne. Kto by specjalnie dla Collinsa opanowywał język angielski?

Utylizator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przeszłości. Ale jak trafił do Collinsa?

Collins rozparł się wygodnie i zaciągnął cygarem. Wypadki się zdarzają, nauczył sam siebie.

Całkiem możliwe, że Utylizator po prostu osunął się w przeszłość. Potrafił przecież tworzyć coś z niczego, a to już była sprawa skomplikowana.

Cóż to musi być za wspaniała przyszłość, myślał Collins. Maszyny do spełniania życzeń! Co za kultura! Człowiekowi pozostawało do roboty tylko jedno: wymyślać życzenia. Hokus-pokus - i gotowe. Z czasem wyeliminują pewnie i ten czerwony przycisk. Wszelkie działanie manualnie stanie się zbędne. Oczywiście będzie musiał bardzo uważać. Nadal przecież istniał prawowity właściciel, i reszta tych całej A. Na pewno będą próbowali odebrać mu maszyny. Może to klika rodowa...

Kattem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł wzrok. Utylizator drżał jak listek na wietrze.

Collins podszedł do niego, surowo marszcząc brwi. Utylizator spowity był ledwie widocznym obłokiem pary. Aparat najwyraźniej się przegrzewał.

Czyżby Collins go przevorsował? Może kubek wody...

Wtem zauważył, że Utylizator wyraźnie się zmniejsza. Miał już najwyżej dwie stopy kwadratowej powierzchni i kurczył się dalej na oczach Collinsa. Właściciel! Albo cała kasta A! To musi być ten mikrotransfer, o którym mówił

Leek. Collins rozumiał, że jeżeli nie działa natychmiast, spełniarka życzeń skurczy się do niczego i zniknie.

- Służba pomocnicza Leeka! - zakomenderował. Pacnął guzik i szybko cofnął rękę. Maszyna była bardzo gorąca.

Leek zjawił się w kacie pokoju, ubrany w luźne portki i koszulkę gimnastyczną, z kijem golfowym w ręku.

- Czy musi mi pan przeszkadzać zawsze, kiedy...

- Niech pan działa! - wrzasnął Collins, wskazując na Utylizator, który mierzył już zaledwie stopę kwadratową powierzchni i dyszał dymną czerwienią.

- Ja tu nic nie poradzę - powiedział Leek. - Mam licencje tylko na ścianę czasu, a tu potrzebni są ludzie od mikrokontroli.

Poprawił uchwyt kijki golfowej i już go nie było.

- Mikrokontrola! - zadysponował Collins i wyciągnął rękę w stronę guzika. Cofnął ją pośpiesznie. Czterocalowej szerokości Utylizator palił czerwienią barwy wiśni. Guzik wielkości lebka od szpilki, był ledwo widoczny. Zjawiła się dziewczyna w rogowych okularach, z notesem w dłoni, i gotowym do notowania ołówkiem w drugiej.

- Z kim chciałby się pan skontaktować? - zapytała z niezmaconym spokojem.

- Pomocy, szybko! - ryknął Collins, patrząc, jak jego bezcenny Utylizator kurczy się i kurczy.

- Pan Vergon wyszedł na lunch - powiedziała dziewczyna, w zamysleniu gryząc koniec ołówka. - Wystrefował się, nie mam z nim łączności.

- A z kim ma pani łączność?

Dziewczyna skonsultowała się z notesem.

- Pan Vis przebywa w Ciągłości Dieg, a pan Elgis działa gdzieś w terenie, w Europie ery paleolitycznej. Jeżeli to naprawdę pilne, radzę się skontaktować z Kontrolą Transferów Punktowych. To nieduża firma, ale...

- Kontrola Transferów Punktowych! Natychmiast!

Cała uwaga skupił na Utylizatorze. Zaatakował go osmaloną już poduszką. Nic się nie stało.

Utylizator miał powierzchnię połowy całej kwadratowej i poduszką - uzmysłowił sobie Collins - nie mogła wcisnąć niewidocznego prawie guzika.

Przez moment Collins wahał się, czy nie darować sobie Utylizatora. Może właśnie nadszedł właściwy moment. Mógłby sprzedać dom, z urządzeniem, i dalej żyć sobie całkiem niezłe.

Nie! Przecież jeszcze niczego ważnego nie zażądał! Nikt mu nie odbierze skarbu bez walki!

Zmusił się do trzymania oczu otwartych, kiedy dzgał rozgrzany do białości guzik sztywno

wyprezonym palcem wskazującym.

Stanął przed nim mikry, niedźnie odziany staruszek, który trzymał w rekach coś jakby wesoło pokolorowana wielkanocna pisanke. Jajo pekło, a z jego wnętrza wydobył się pomarańczowy dym, który natychmiast wessany został przez niewidoczny gołym okiem Utylizator. Buchnął straszny dym; Collins omal się nie udławił.

Utylizator zaczął powracać do dawnych rozmiarów. Wkrótce odzyskał pierwotną wielkość.

Wydawał się nienaruszony. Staruszek skromnie skinął głową.

- My się tam nie cackamy - powiedział - ale za to działamy solidnie, mucha nie siada.

Jeszcze raz kiwnął głową i zniknął.

Collins miał wrażenie, że słyszy z oddali wściekłe wrzaski.

Roztrzesiony, usiadł na podłodze przed maszyną. Ból w palcu cmił nielitościwie.

- Ulecz mnie - wymamrotał Collins przez spierzchnięte wargi, przyciskając guzik zdrową ręką.

Utylizator jeszcze chwile szumił głośniejsze, po czym ucichł. Ból ulotnił się z poparzonego palca i

Collins stwierdził, że nie widac ani śladu po oparzeniu - w ogóle nie wiadomo, gdzie to było.

Collins strzelił sobie sporą brandy i poszedł prosto do łóżka. Tej nocy sniło mu się, że ściga go wielka litera A, ale rankiem nic z tego nie pamiętał.

Po tygodniu Collins zorientował się, że wzniesienie domu w lesie było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpasć. Zmuszony był wynająć pluton strażników dla utrzymania ciekawskich z daleka, a myśliwi uparli się biwakować właśnie w jego francuskich ogrodach.

Na domiar złego, jego sprawami zaczął się żywo interesować urząd podatkowy.

Ale przede wszystkim Collins doszedł do wniosku, że wcale nie szaleje za urokami przyrody.

Nie miał nic przeciwko ptaszkom i wiewiórkom, ale trudno je było uznać za partnerów do konwersacji. Drzewa, chociaż bezsprzecznie dekoracyjne, wysiadały w charakterze kompanów od kieliszka.

Collins skonstatował, że w głębi duszy jest skonczonym mieszczuchem.

W związku z tym, korzystając z pomocy towarzystwa przenosielskiego Powha Minnile, towarzystwa budowlanego Maxima Olph, biura podróży Jagton Instantaneous, oraz lokując sporą forszę w odpowiednich rekach, Collins przeprowadził się do małej republiki w Ameryce Środkowej. Tam, korzystając z cieplejszego klimatu i braku podatku dochodowego, wybudował obszerny, przewiewny, wystawny pałac.

Przez krótki czas wszystko układało się sympatycznie.

Któregoś ranka Collins podszedł do Utylizatora z niezbyt sprecyzowaną intencją zazadania samochodu sportowego i może niewielkiego stadka rodowodowego bydła na dodatek. Pochylił się nad szarym blatem maszyny, sygnal ręką do guzika...

A wtedy Utylizator cofnął się przed nim.

Przez chwilę Collins myślał, że ma przywidzenia i bliski był podjęcia decyzji, że już nie będzie pił szampana przed śniadaniem. Dał krok do przodu i sygnal do guzika.

Utylizator wykonał zgrabny unik i truchcikiem wycofał się z pokoju.

Collins skoczył za nim, przeklinając właściciela i całą klasę A. To na pewno była ta animacja, o której opowiadał Leek - właścicielowi udało się w jakiś sposób ożywić maszynę. Ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było dogonić aparat, wcisnąć guzik i wezwać fachowców z Kontroli Animacji.

Utylizator pedził środkiem hallu, Collins tuż za nim. Pomocnik lokaja, polerujący właśnie masywną galke u drzwi, spojrzał na nich z rozdziawioną gębą.

- Zatrzymaj to! - wrzasnął Collins.

Pod-lokaj niezdarnie zablokował drogę Utylizatorowi. Maszyna wyminiła go z wdziękiem i

sprintem puscila sie ku drzwiom wejsciowym.

Collins nacisnal guzik i drzwi zatrzasnely sie z glosnym hukiem.

Utylizator wzial rozped i staranowal zamkniete drzwi. Znalazlszy sie na zewnatrz, zawadzil o szlauch ogrodowy, natychmiast odzyskal równowage i ruszyl ku otwartej przestrzeni.

Collins puscil sie za nim. Gdyby tylko udalo mu sie zbliczyc jeszcze o kawalek...

Utylizator nagle wyskoczyl w górę. Na moment zawisl w powietrzu, po czym opadl na ziemie.

Collins rzucil sie do guzika.

Utylizator przeturlal sie na bok, podbiegl kawalek i znów podskoczyl. Przez chwile wisial dwadziescia stóp nad glowa Collinsa, podciagnal sie jeszcze o kilka stóp do góry, zamarl bez ruchu, obrócił sie gwałtownie i spadl na ziemie.

Collins przerazil sie, ze za trzecim skokiem maszyna juz nie opadnie. Kiedy Utylizator niechętnie wracal na ziemie, Collins byl juz przygotowany. Przyczail sie i przypadl do guzika. Utylizator zrobil unik, ale za późno.

- Kontrola Animacji! - ryknal triumfalnie Collins.

Nastapil drobny wybuch i Utylizator potulnie osiadl w miejscu. Nie bylo w nim ani sladu zycia.

Collins otarl czolo i przysiadl na maszynie. Tamci sa coraz blizej. Powinien teraz, póki jest okazja, wyglosic jakies wazne zyczenie.

Jednym tchem zazadal pieciu milionów dolarów, trzech czynnych szybów naftowych, studia filmowego, doskonałego stanu zdrowia, jeszcze dwudziestu pieciu tancerek, niesmiertelnosci, samochodu sportowego i stada rodowodowego bydla. Wydalo mu sie, ze ktos syknal z niesmakiem. Rozejrzal sie wokolo. Nikogo nie bylo.

Kiedy sie odwrócił, Utylizatora tez nie bylo.

Collins tylko wytrzeszczyl oczy. A po chwili nie bylo również i jego...

Kiedy otworzyl oczy, okazalo sie, ze stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie biurka siedzial potezny facet, czerwony na gebie, ten sam, który kiedys próbował sie wedrzec do jego pokoju.

Facet nie wygladal na zagniewanego. Mine mial raczej zmartwiona, wrecz melancholijna.

Collins przez krótka chwile stal w milczeniu. Zal mu bylo, ze to juz koniec.

Wlasciciel i ci A jednak go w koncu dopadli. Ale dopóki trwalo, bylo fantastycznie.

- No - odezwal sie bez ogródek Collins. - Ma pan z powrotem swoja maszynke. Czego jeszcze?

- Moja maszynke? - powtórzyl czerwony na gebie, z niedowierzaniem podnoszac wzrok. - To nie moja maszynka. Bynajmniej.

Collins wybaluszył oczy.

- Nie bujaj, szefie. Wy, A klasa, dobrze dbacie o ochrone swojego monopolu, co?

Czerwony na gebie odlozyl papier na biurko.

- Panie Collins - oswiadczył sztywno. - Moje nazwisko Flign. Jestem agentem Obywatelskiej Jednostki Ochronnej, organizacji bezdochodowej, której celem jest ochrona jednostek takich jak pan przed bledami w ocenie.

- Jak to, to pan nie jest A?

- Szanowny pan dziala na podstawie falszywych przeslanek - odparl Flign z cicha godnoscia. -

Klasa A nie oznacza grupy społecznej, jak zdaje sie pan sadzic. Jest to po prostu kategoria kredytowa.

- Co takiego? - Collins przeciagal sylaby.

- Kategoria kredytowa - Flign zerknal na zegarek. - Czasu mamy niewiele, wiec bede sie streszczal. Zyjemy w epoce decentralizacji, panie Collins. Nasze przedsiebiorstwa, instytucje i uslugi rozsiiane sa na znacznych obszarach przestrzeni i czasu. Korporacja utylizacyjna jest ogniwiem niezbednym. Zapewnia transfer dóbr i uslug z jednego punktu czasoprzestrzeni do

drugiego. Czy pan mnie rozumie?

Collins pokiwał głową.

- Kredyt jest, rzecz jasna, przywilejem automatycznym. Jednak w końcu za wszystko trzeba płacić.

Collinsowi nie spodobało się to ostatnie zdanie. Jak to - zapłacić? A więc nie był to świat aż tak cywilizowany, jak mu się zdawało. Nikt wcześniej nie wspominał o płaceniu. Dlaczego wyskakują z tym dopiero teraz?

- Dlaczego ktoś mnie nie powstrzymał? - zapytał zrozpaczony Collins. - Przecież musieli wiedzieć, że nie mam odpowiedniej kategorii.

Flign pokreślił głową.

- Kategorie kredytowe mają charakter sugestii, nie przepisów. W cywilizowanym świecie jednostka ma prawo do decydowania o sobie. Bardzo mi przykro, sir - znów zerknął na zegarek i wręczył Collinsowi papier, który uprzednio studiował. - Zechce pan rzucić okiem na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystko się zgadza?

Collins wziął od niego kartkę i przeczytał:

Jeden pałac z wyposażeniem.....kred. 45 000 000

Usługi Przenosielskie, Maxima Olph.....111 000

122 tancerki.....122 000 000

Doskonały stan zdrowia.....888 234 031

Szybko przeleciał wzrokiem resztę listy. Suma opiewała na nieco ponad osiemnastę miliardów kredytów.

- Jedną chwilę! - zaprotestował Collins. - Nie mogę za to wszystko odpowiadać! Ten cały Utylizator wpadł mi do pokoju przypadkiem!

- Jest to fakt, na który zamierzam zwrócić ich uwagę - odparł Flign. - Kto wie, może okaza się zdrowy rozsadek. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Collins poczuł, że pokój się kołysze. Twarz Fligna rozplywa się przed jego oczami.

- Czas minal - powiedział Flign. - Powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Kiedy już znów otworzył, stał na ponurej równinie, a przed nim wznosił się łańcuch kolkowatych gór. Zimny wicher smagał po twarzy, niebo miało barwę stali. Koło niego stał jakiś obdartus.

- Trzymaj - powiedział i wręczył Collinsowi kilof.

- Co to jest?

- To jest kilof - wyjaśnił cierpliwie obdartus. - A tam - o tam, są kamieniołomy, z których ty, i ja, i inni też, będziemy wydobywać marmur.

- Marmur?

- A jak! Zawsze się znajdzie jakiś dran, któremu się zamarzy marmurowy pałac. - Obdartus uśmiechnął się kwasno. - Możesz mi mówić Jang. Spędzimy razem kawał czasu.

Collins, oglupiał, zamrugł oczami.

- Ile?

- Sam sobie oblicz - powiedział Jang. - Stawka jest piętnastę kredytów za miesiąc, do chwili całkowitego spłacenia długu.

Kilof wypadł z ręki Collinsa. Nie mogli mu zrobić czegoś takiego! Korporacja Utylizacyjna na pewno już dostrzegła swoją omyłkę?! To oni się pomylili, przez nich maszyna omsknęła się w przeszłość! Czyż tego nie rozumieją?

- To pomyłka! - powiedział Collins.

- Nie ma żadnej pomyłki - powiedział Jang. - Oni tu stale cierpią na brak rąk do pracy. Prowadzą

rekrutacje gdzie sie da. Nie przejmuj sie. Najgorsze pierwsze tysiac lat, potem sie przyzwyczaisz. Collins ruszył za Jangiem w stronę kamieniolomów. Nagle zatrzymał się.

- Pierwsze tysiac lat? Przecież człowiek tyle nie żyje!

- Niektórzy żyją - uspokoił go Jang. - Nie prosiles przypadkiem o niesmiertelnosc?

Istotnie, prosił. Zazadał niesmiertelnosci tuż przed tym jak cofneli mu maszyne. A może cofneli mu maszyne tuż po tym jak zazadał niesmiertelnosci?

Collins coś sobie przypomniał. Dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, niesmiertelnosc nie figurowała.

- Nie wiesz czasem, ile biora za niesmiertelnosc? - zapytał.

Jang popatrzył na niego i parsknął śmiechem.

- Nie bądź naiwny, synku. Powinienes się już dawno polapac.

Podprowadził Collinsa pod kamieniolomy.

- Niesmiertelnosc dostajesz za frajer, to chyba jasne.

**Książka pobrana ze strony**

**<http://www.ksiazki4u.prv.pl>**

**lub**

**[www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl](http://www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl)**